

GRAŻYNA WODZINOWSKA-TAKLIŃSKA

DOI: 10.26106/p4r7-ke06

CENA PRZETRWANIA.
WSPOMNIENIA O MOJEJ RODZINIE
1812–1989



Grażyna Wodzinowska-Taklińska

W jednej z szuflad komody w naszym mieszkaniu na Grzegórkach leżały rodzinne fotografie z minionej epoki, w drugiej natomiast moja Ciocia Stefa – zwyczajem tych, którzy przeszli w swym życiu już niejedną katastrofę dziejową – przechowywała „na wypadek wojny” (choć ta dopiero się skończyła) zapalki, suchary i mleko w proszku. Fotografie oglądałam dość często jako dziecko, lecz przyznać muszę, że interesowały mnie one jedynie ze względu na osoby bliskie memu sercu i te, które znałam.

Dopiero w 1974 roku po śmierci mojej Babci Marii, Jej Siostra, a moja Ciocia Stefa, przeczuwając chyba swoje rychłe odejście z tego świata (zmarła rok po Babci), zaczęła przynosić do naszego mieszkania już na Żelechowskiego wszystkie rodzinne zdjęcia oraz dokumenty. W ciągu ostatniego roku Jej życia zdążyłam dużo się od Niej dowiedzieć o losach naszej Rodziny. Całą jednak resztę, już później,

przez wiele lat utrzymywała mi w niekończących się opowieściach moja Mama, która dzięki niezwyklej pamięci zachowanej aż po kres swego życia, z fotograficzną niemal precyzją wprowadziła mnie w świat swego dzieciństwa. I choć wspomnienia Jej przesycone były smutkiem i tragizmem tamtych lat, to nie można przecież było im odmówić jakiegś nutki tęsknoty za tym, co minęło.

Ja zaś, spisując swoje rodzinne dzieje, pragnęłam okazać tym Wszystkim, którzy odeszli, swoją największą miłość i szacunek i z tego też powodu pisałam o Nich zawsze używając dużych liter.

W tym miejscu chciałabym również wyrazić gorące podziękowanie dla mojej koleżanki (ze studiów), Pani mgr Anny Kozłowskiej, starszemu kustoszowi w Oddziale Rękopisów Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie, która nie tylko jako pierwsza zachęciła mnie i natchnęła do napisania tego opowiadania, lecz także przez cały czas wspierała swoją dobrą radą i koleżeńską pomocą.



*Tymczasem przenieś moją duszę utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych;
Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzlacanych pszenicą, posrebrzanych żytem [...]
Śród takich pól przed laty, nad brzegiem ruczaju,
Na pagórku niewielkim, we brzozowym gaju,
Stał dwór szlachecki ...*
(Adam Mickiewicz, Pan Tadeusz)

HINCEWICZE

A nasz znajdował się w grodzieńskim powiecie, w majątku Hincewicz, należącym przed wieloma laty do moich prapradziadków Moniki i Wincentego Pietraszewskich h. Rawicz, który graniczył z dobrami Poniatowskich.

Moja praprababka ze strony mojej Mamy, Monika, była matką sześciu córek i jednego syna, a ponieważ miała – jak większość kobiet w mojej rodzinie – bardzo piękne, bujne i długie włosy, każda z sześciu córek musiała poświęcać na czesanie jej warkoczy jeden dzień w tygodniu.

Dwór w Hincewiczach wedle opisu mojej Babci Marii Ejsmont-Kładni był piękny, wielki i murowany. Miał salę balową z organami oraz staw rybny. Na fotografii widać przed domem dwie pary grające w winta i stojących nieopodal dwóch lokajów. Moja Babcia jednak gościła w Hincewiczach zbyt krótko, bym miała więcej informacji o życiu w tym majątku. Przyjechała tam bowiem aż ze Stawropola na Kaukazie, zaproszona przez Brata swej matki Jadwigi, który chciał ją tu wydać za mąż. Na stacji w Baranowiczach czekały już na nią konie. Niestety, gdy tylko zajechali do Hincewicz, usłyszała smutną wiadomość, iż Wuj zmarł tuż przed jej przyjazdem. Tak więc, w kilka dni po pogrzebie, nie poznawszy już nawet narzeczonego, wróciła do Stawropola, gdzie po pewnym czasie wyszła za mąż za mojego Dziadka, Waldemara Wilhelma Edwarda Kładni.

Moja prababka natomiast, Jadwiga Pietraszewska-Ejsmont (1857–1898), jedna

z sześciu córek praprababki Moniki i jej męża Wincentego Pietraszewskiego, na jednym z balów poznała mojego pradziadka, szlachcica Jana Piotra Antoniego Ejsmonta (1847–1893) h. Korab z majątku w Wołkowysku i wkrótce też została jego żoną. Dziadkami zaś mojego pradziadka Jana Piotra Antoniego byli Ignacy Ejsmont i Rozalia Kasperowicz, a jego rodzicami Jan Ignacy Ejsmont i Antonina Borysiewicz.

Jan Ignacy Ejsmont, urodzony w 1796 roku, odbył w 1812 kampanię przeciw Rosji. Był w batalii w Smoleńskim, gdzie został ranny, a w 1813 służąc w 8 pułku piechoty, wytrzymał 10-miesięczne oblężenie w Twierdzy Modlin. Za zasługi awansowano go do rangi porucznika. Dwukrotnie żonaty: najpierw w roku 1820 z Teofilą z Gozowskich (wdową?) – Skwirczyńską, z którą miał troje dzieci: syna Jana Alojzego (syn „dołączony”) oraz dwie córki: Emilię i Teofilę (por. drzewo genealogiczne: od Alexandra 1675, na podst. wyciągu z ksiąg szlacheckich grodzieńskich nr 1235 – Dekret Izby Szlacheckiej Grodzieńskiej 1560 A, 28 Augusta 1820 roku).

W roku 1846 już jako pięćdziesięcioletni wdowiec ożenił się powtórnie z młodszą o 20 lat swoją praprababką Antoniną Borysiewicz (ur. 1816), córką Piotra i Karoliny z domu Kozłowskiej z majątku Parfimowicz. Ich jedynym synem, a moim pradziadkiem był Jan Piotr Antoni Ejsmont (ur. 24 czerwca 1847, zm. 1893) z Wołkowyska.

WYGNANI NA KAUKAZ

Nastał rok 1863. W Polsce pod zaborem rosyjskim wybuchła Powstanie Styczniowe. Mój 67-letni prapradziadek Jan Ignacy Ejsmont, ojciec Jana Piotra Antoniego, ze względu na swój zaawansowany już wtedy wiek nie może niestety – jak niegdyś w Twierdzy Modlin – aktywnie uczestniczyć w Powstaniu. Postanawia więc w inny sposób wspomagać polskich powstańców. Może to wrodzone bohaterstwo mego prapradziadka i patriotyzm wpajany mu od dziecka, może słowa naszego Wieszcza:

Ha! carze, ty nam polską ukradłeś krainę?
Za to śmierć! bo wiedziałeś kradnąć, żeś wart śmierci!
Ha! carze, tyś ją zabił i rozdarł na ćwierci,
Potem kawały spadły z gilotyny ścienic
Przybiłeś do trzech tronów, jak do trzech szubienic,
Gdzie na nie patrzą wzgardą królewscy zbrodniarze;
Carze! gdybyś dwa razy mógł umrzeć? O! carze,
Dwa razy ciebie przed sąd Boga zapożyczam!...

(Juliusz Słowacki, Kordian)

skłoniły go do tego, by przy pomocy służby ze swego majątku w Wołkowysku dostarczać powstańcom ukrywającym się w okolicznych lasach, pod osłoną nocy, kosze pełne żywności i nie tylko.

Władze carskie, mając w pamięci jednak dawne bohaterskie czyny byłego weterana

w walce z Moskalami, postanowiły wymierzyć mu surową karę, skazując go na zesłanie na Kaukaz bez prawa powrotu, a także konfiskując całe jego mienie w Wołkowysku. Ocalał jedynie majątek jego żony, to jest mojej praprababki, Antoniny Borysiewicz-Ejsmont.

Część z tego majątku małżeństwo Ejsmontów zabrało ze sobą na Kaukaz, by kupić tam dom i winnice, część zostawiło dla swego jedyne go syna, a mojego pradziadka, Jana Piotra Antoniego, studiującego prawo na Uniwersytecie w Warszawie, który po ukończeniu studiów i kilku latach praktyki ożenił się z moją prababką Jadwigą Pietraszewską z majątku w Hincewiczach, córką Moniki i Wincentego Pietraszewskich, spokrewnionych ze sobą w czwartym stopniu pokrewieństwa.

Mając na uwadze jednak podeszły już wiek i liczne choroby swoich rodziców tam na Kaukazie, mój pradziadek, Jan Piotr Antoni, wraz ze swoją żoną Jadwigą postanowili opuścić Wołkowysk i udać się do rodziców na Kaukaz. Pojechała z nimi również jako niania szlachcianka panna Ludwika, nazwana potem przez ich córki Bałą. Tam też na Kaukazie, kolejno we Władymirowce, Rebrówce nad rzeką Kumą (około 100 km na południowy wschód od Stawropola) i na koniec w Stawropolu, gdzie moi pradziadkowie osiedli już na dobre, przychodziły na świat ich dzieci: syn Piotr (ur. 1885, zmarł po urodzeniu), moja Babcia Maria (ur. 8 września 1886, zm. 14 stycznia 1974), moja Ciocia Stefania (ur. 5 października 1888, zm. 18 maja 1975) oraz Ciocia Zofia Alina (ur. 1890, zmarła jako lekarz w czasie epidemii tyfusu, pochowana w Kubińsku w Rosji).

STAWROPOL – MIASTO KRZYŻA

W Stawropolu, tak jak i we Władymirowce i Rebrówce, moi pradziadkowie mieli winnice oraz piękny duży dom z tak zwanym „ogródkiem” (wielkości dzisiejszego dużego ogrodu) i ogrodem. Alejami tego „ogródka” zwykła przechadzać się pogrążona w lekturze moja Babcia Maria. Ich „dowcipny” ogrodnik, chcąc ją przestraszyć, zawiesił kiedyś na gałęzi zabitego węża tak, by zaczytana Babcia zahaczyła o niego głową. Był tam też sad i drzewa orzechowe, a z najwyższego z nich moja Ciocia Stefa mogła oglądać latem Elbrus cały w śniegu.

Jeszcze w dzieciństwie moja Babcia często miewała sny o skarbie znajdującym się w ich ogrodzie. Gdy po wielu latach znalazła się już w Ojczyźnie, ze zdziwieniem przeczytała w prasie informację o źródłach ropy naftowej odkrytych właśnie w Stawropolu, tuż w pobliżu ich domu!

Klimat w Stawropolu był wspaniały: lata bardzo gorące (zawieszano wtedy w oknach mokre prześcieradła), zimy natomiast bardzo śnieżne. Aby wyjść z domu należało odkopać do połowy ze śniegu bramę.

Były tam parki i jeziora oraz dwa gimnazja. Do jednego z nich Olgińskiego (dla dziewcząt dobrze urodzonych) chodziła moja Ciocia Stefa i Zofia oraz Babcia Maria.

W Stawropolu mieszkało wtedy bardzo dużo Polaków. Prócz nich byli tu także Rosjanie i Francuzi. Koleżankami gimnazjalnymi mojej Babci były Małgosia Fiumel oraz

znana później rosyjska śpiewaczka operowa Wiera Chołodnaja, a państwo Bernardel wraz z gromadką swoich dzieci mieszkali w bliskim sąsiedztwie mojej rodziny i byli jej wielkimi przyjaciółmi. Do Stawropola również moja prababcia Jadwiga mogła sprowadzać aż z odległej pod zaborami ojczyzny polskie książki, a dzieła Mickiewicza pięknie oprawne w skórę stoją do dziś u mnie na półce.

Mój pradziadek Jan Piotr Antoni Ejsmont jako prawnik pełnił w Stawropolu obowiązki sędziego pokoju. Praca ta jednak wymagała częstych wyjazdów do okolicznych miejscowości. W trakcie jednego z nich rozpuściła się wielka zamieć śnieżna i mój pradziadek – mimo nalegań woźnicy sań, by przenocować w mieście, postanowił wrócić do domu, tłumacząc swą decyzję kiepskim stanem zdrowia swej żony. I tak otulony ciepłym futrem wrócił, ale już z zapaleniem płuc. Kilka lat potem, mimo dobrego kaukaskiego klimatu – zmarł w roku 1893.

Pięć lat po nim w 1898 roku umiera na zapalenie woreczka żółciowego jego żona, a moja prababka Jadwiga. I tak ich trzy córki: moja Babcia (jedenastoletnia), Ciocia Stefa (dziewięcioletnia) i Zosia (siedmioletnia) zostają sierotami. Po śmierci matki Ciocię Stefę oddano do internatu w Stawropolu. Była jeszcze zbyt mała, by odnaleźć się nagle w tej smutnej rzeczywistości w obcym dla niej środowisku. Służba znalazła ją kiedyś płaczącą wieczorem w ogrodzie w ich domu, gdyż nie chciała więcej wracać do internatu.

I tu nie sposób nie wspomnieć o opatrnościowej wprost osobie, jaką była Babcia Bala, to jest panna Ludwika, traktowana od zawsze jak członek rodziny, z największym szacunkiem i miłością. Gdy po śmierci rodziców moja Babcia i jej dwie młodsze siostry zostały same, Bala wzięła na siebie niemal wszystkie obowiązki związane z opieką nad dziewczynkami, ich nauką, a także prowadzeniem domu i zarządzaniem samym majątkiem. Kilka lat później sprowadziła jednak sobie do pomocy ciotkę trzech sióstr, Stanisławę Pietraszewską z majątku Hincewicze, wraz z jej mężem Apoloniuszem i ich córką Cesią.

Babcia Bala była przy mojej rodzinie do końca swoich dni. Zmarła już w czasie rewolucji na zapalenie płuc w hotelu studenckim u Cioci Stefy w Charkowie, gdzie schronienie przed bolszewikami znalazła też moja Babcia z moją Mamą Heleną i jej bratem Witkiem. Tam też została pochowana.

Po ukończeniu gimnazjum w Stawropolu moje obie Ciocie Stefa i Zosia wyjechały na studia do Moskwy. Ciocia Stefa na tutejszym Uniwersytecie ukończyła Wydział Matematyczno-Przyrodniczy i już tylko niestety kilka semestrów w Wyższej Szkole Handlowej, ponieważ dalszą naukę przerwała jej rewolucja. Ciocia Zosia natomiast ukończyła Medycynę i została lekarzem, jednak w czasie wybuchu epidemii tyfusu zaraziła się od swoich pacjentów tą chorobą i zmarła w Kubińsku. Moja Babcia Maria po ukończeniu gimnazjum zmuszona była podjąć pracę na poczcie w telegrafii, gdyż prawny opiekun trzech sióstr pan Wołodko oznajmił im, że wszystkie pieniądze zostały już wydane na kształcenie dwóch pozostałych sióstr.

Idee patriotyczne zakorzenione w mojej rodzinie, które dały znać o sobie w bohaterskiej postawie mojego prapradziadka Jana Ignacego Ejsmonta, po wielu latach odżyły

ponownie, a kontynuatką tychże i żywym ich dowodem stała się moja Ciocia Stefa, studentka moskiewskiego Uniwersytetu. Związana z organizacją studencką występującą przeciw caratowi w Rosji w lecie 1910 roku w trakcie jednej z akcji została aresztowana przez władze carskie i osadzona w stawropolskim więzieniu.

O tym fakcie moja Mama Helena dowiedziała się dopiero w Polsce w latach trzydziestych od swojej Ciotki Cesi Baranowskiej z Warszawy, gdyż cała ta sprawa utrzymywana była w najgłębszej tajemnicy.

Ja natomiast, dopiero teraz w 2007 roku, przeszukując dokumenty i stare zdjęcia, natrafiłam na kartkę tak zwaną otkrytkę, pisaną przez moją Babcię Marię do Cioci Stefy do Stawropola. Zdziwiły mnie w niej tylko słowa: „czy długo jeszcze będą nie przepuszczać?” oraz brak dokładnego adresu. Później jednak w miejscu wielokrotnie przekreślonym odczytałam słowo: *tiurma* – więzienie.

CHARKÓW – KLEMIONOWKA

Moja Babcia Maria Ejsmont po nieudanej próbie wydania jej za mąż przez wuja z Hincewicz, zmarłego w dniu jej przyjazdu, wróciła do Stawropola i tu w kilka lat później wyszła za mąż za mojego dziadka Waldemara Wilhelma Edwarda Kładni, syna Augusta Kładni – dyrektora Banku w Stawropolu i jego żony Paschenkopf.

Babcia Maria zamieszkała wraz z mężem na Osnowie w Charkowie. Tu urodziła im się w 1910 roku ich pierwsza córeczka Maria, która wkrótce po urodzeniu zmarła. Drugim dzieckiem moich Dziadków była już moja Mama Helena (ur. 2 kwietnia 1912, zm. 11 stycznia 2005). W dwa lata później, w roku 1914 przyszedł na świat mój Wuj Wiktor Kładni.

Na przełomie lat 1914/1915 roku mój dziadek Waldemar Kładni objął posadę dyrektora w Domu Starców w Klemionowce koło Charkowa. Tu też przeniósł się z całą swoją rodziną.

Klemionowka mimo całego ogromu ludzkiego nieszczęścia, jakie skrywała w swym wnętrzu, jawiła się zawsze we wspomnieniach mojej – małej jeszcze – Mamy, jako miejsce cudowne i urokliwe.

Pięknie położona bogadielnia, to jest przytułek dla starców, powstał w Klemionowce na terenach majątków ziemskich, a egzystował dzięki stałym dotacjom rodzin tutejszych pensjonariuszy. A byli nimi głównie ludzie starzy i schorowani, jednak łagodni i spokojni, niegroźni zupełnie dla otoczenia. Wyjątek wiekowy wśród nich stanowił chłopiec imieniem Fiodor, który ubrany w białą soroczkę, przepasaną parcianym paskiem, otwierał każdego ranka drewniane okiennice, witając moją bardzo piękną Babcię Marię słowami: „здравствуйте Царица Небесная” – widać mylił ją z Matką Boską. Fiodor też często bawił się z moją Mamą i Wujkiem.

Do ośrodka tego prowadziła długa aleja, wysadzana z obu stron szpalerem drzew. A ponieważ ciepła wiosna przychodziła tu już w marcu, dzieci mogły biegać na bosaka,

cała zaś zielen wokół domu była wprost rozniebieszczona od pierwiosnków.

Na tyłach samego majątku był stary cmentarzyk. Tu moja Babcia często przychodziła z dziećmi, by czytać im polskie książki.

PETERSBURG – CARSKIE SIOŁO

Mój dziadek Waldemar Wilhelm Edward Kładni, syn Augusta Kładni i pani Paschenkopf, jak i cała jego rodzina, byli wyznania ewangelickiego. Imienia matki mojego dziadka, a więc mojej prababki, niestety nie znam, gdyż wszystkie ważne dokumenty dotyczące rodziny dziadka Waldemara z uwagi na ich obcą klasowo i wrogą pozycję społeczną zostały spalone u zarania rewolucji przez moją Babcię Marię.

Tak więc moja „bezimienna” prababka (ze strony ojca mojej Mamy Heleny), córka barona Paschenkopf, pochodziła z rodziny austriackiej. Wyszła za mąż w bardzo młodym wieku za dużo od niej starszego Augusta Kładni, dyrektora Banku w Stawropolu. Małżeństwo Kładni miało czworo dzieci. Najstarszym z nich była Olga, potem kolejno dziadek Waldemar (urodzony w Bratysławie), Żenia (Eugenia) i najmłodszy Żorzyk.

Niestety – jak w każdej rodzinie zdarzają się pewne ciemne plamy – tak i w mojej miał miejsce skandaliczny fakt. Moja prababka, będąc jeszcze bardzo młodą, zgrabną i piękną kobietą, zakochała się bez pamięci w guwernerze swoich dzieci i idąc śladami Anny Kareniny, uciekła z nim. Ktoś ze służby widział ją kiedyś, jak zaglądała przez okno wieczorem na najmłodsze swoje dziecko, małego Żorża, który był jeszcze w pieluszkach. Potem słyszano już tylko, że żyła gdzieś w strasznej nędzy, ale nikt nigdy już jej nie zobaczył.

Po odejściu żony August Kładni został sam ze swoimi dziećmi. Powodziło mu się nieźle jako dyrektorowi banku. Dzieci otrzymały staranne domowe wykształcenie, znały świetnie język francuski i niemiecki, gdyż w ich domu panował zwyczaj mówienia tymi językami, w każdym tygodniu innym.

Pomocną dłoń wyciągnęła wtedy do nich ciotka (ze strony matki) mojego dziadka Waldemara, baronowa Antonina Elżbieta Karolina Paschenkopf-Winokurow, która zresztą przez całe swoje życie bezustannie wspierała ich materialnie.

Prababka baronowa Paschenkopf była osobą bardzo bogatą. Miała w Petersburgu jedną stronę głównej ulicy, piękną willę – pałac w Jałcie na Krymie oraz daczę w Carskim Siole. Wyszła za mąż za Rosjanina Winokurowa, właściciela stadniny koni wyścigowych. Nie miała jednak własnych dzieci, lecz dwoje podrzuconych jej na progu domu w koszyczkach, które wychowała jako swoje i adoptowała, a ponieważ w tychże koszyczkach były także ich dokumenty, wiedziała, z jakich rodzin dzieci te pochodziły. Jednym z nich był chłopiec, który niestety tuż po maturze, pływając łódką po Newie, utonął. Drugim dzieckiem była dziewczynka imieniem Barbara, to jest Wawa Winokurowa. Studiowała ona w 1913 roku na Uniwersytecie niemieckim w Tallinie (niem. Revel). Wśród starych zdjęć zachowała się jej fotografia z 31 lipca 1913 roku, zrobiona w Parnawie (estońskie miasto Pärnu, niem. Pernau), mieście portowym nad Zatoką Ry-

ską w Estonii. Zdjęcie to było dedykowane mojemu dziadkowi Waldemarowi. Wawa wyszła za mąż za brata mojego dziadka, Żorża i miała z nim dwoje dzieci: Borysa i Ninę.

W czasie rewolucji jednak, gdy dziadek mój był na froncie, przyjeżdżała do mojej Babci do Charkowa, zbyt często rozpytując o niego. Stąd też uzasadnione obawy mojej Babci i przypuszczenie, co do jej ewentualnej współpracy z bolszewikami.

Kiedy mój dziadek Waldemar jeszcze w czasie pierwszej wojny światowej przebywał na froncie, prababka Paschenkopf zapraszała do Petersburga moją Babcie wraz z dziećmi. Moja prababka była osobą już starszą, poruszała się więc jedynie na wózku inwalidzkim prowadzonym przez jej lokaja. Nie odstępowały jej też na krok dwie damy do towarzystwa. W jej domu w Petersburgu była przepiękna łazienka z olbrzymią wanną, w której moja Babcia kąpała moją Mamę i jej brata Witka. Był tam również przestronny pokój z mnóstwem półek wypełnionych różnymi materiałami.

W Rosji zaczynało brakować już żywności, więc tu moja rodzina mogła mieć wszystkiego pod dostatkiem. Moja Mama, choć mała (miała wtedy cztery lata), była wszystkiego ciekawa i wszędzie zaglądała. To widać było powodem niezbyt wielkiej sympatii okazywanej dziecku przez starszą i schorowaną już panią. Bardziej jej za to przypadł do serca mój mały Wuj Witek, któremu w dowód swojej do niego miłości zapisała ów pałacyk w Jałcie, a przy wyjeździe z Petersburga mojej Babci z dziećmi nie ukrywała swoich łez.

Innym znów razem baronowa zaprosiła Babcie z dziećmi do Carskiego Sioła. Było ono – według opowiadań mojej Mamy, która już jako dziecko miała genialną pamięć – pięknie położone, w okolicy pełnej zieleni i jarów. Droga, przy której stała dacza mojej prababki, przejeżdżały bardzo często na koniach jako amazonki carewny – ostatnie z rodziny carskiej, wymordowanej niedługo potem w bestialski sposób przez bolszewików.

Gdy moja Prababka odpoczywała, zwalniając tym samym swój wózek, wdrapywała się na niego moja mała Mama, a lokaj woził ją po ogrodzie. Na wiosnę rosło tu dużo mleczy i Mama zapamiętała służącą, która w białych rękawiczkach zrywała z nich same młode listki na zupę czy sałatkę.

REWOLUCJA 1917 ROKU

Klemionowka była ostatnim miejscem pobytu mojej rodziny przed ucieczką do Charkowa. Na samym początku rewolucji mój dziadek Waldemar dość często przyjeżdżał z frontu do domu, potem jednak – gdy było jeszcze w miarę bezpiecznie – już na kolejnych liniach frontu odwiedzała go moja Babcia, a dzieci zostawały wtedy pod opieką Bali. Kiedy sytuacja w Rosji stała się już bardzo groźna, moja prababka Paschenkopf zaprosiła moją Babcie do Petersburga, chcąc wspomóc ją rodzinnymi klejnotami i pieniędźmi. Mój Dziadek jednak, upatrując w tym zbyt wielkie zagrożenie dla niej i dzieci, nie wyraził zgody na ten wyjazd.

Kiedy sytuacja w Rosji zaostrzyła się już na dobre, a Dziadek mój ciągle był na froncie, pewnego wieczoru z Charkowa przybyła pieszo do Klemionowki moja Ciocia Stefa z wiadomością, że należy czym prędzej stąd uciekać. Całą noc obie siostry paliły więc różne „podejrzane i niebezpieczne” dokumenty i fotografie, piekły mięso z królików wraz z Balą i wczesnym rankiem cała moja rodzina wyjechała do Charkowa.

Zamieszkali tu wszyscy w jednym pokoiku hotelu studenckiego u Cioci Stefy.

Do Klemionowki moja Babcia musiała raz jeszcze wrócić na tak zwany „podział swojego mienia” tam pozostawionego. Bolszewicy podzielili całość na dwie części: jedną dla siebie, drugą dla Babci. Z tej „ich” części udało się jednak Babci trochę przełożyć na swoją kupkę, a na niej położyć obraz świętej Teresy. W ten sposób już tej części nie tknęli. Zapytali jednak, dlaczego są dwa łóżeczka dzieciinne, a gdy zdziwiona Babcia odpowiedziała, że ma dwoje dzieci, krzyknęli: „ależ burżujstwo!”.

Po wywiezieniu przez Babcię pozostawionego jej dobytku, zaplombowali mieszkanie. Tak to wyglądało ostateczne pożegnanie z Klemionówką.

Powróćmy jednak do Charkowa. Dom studencki, w którym mieszkała moja Ciocia Stefa, był bardzo duży. Wychodziło się z niego pasażami na trzy różne ulice. Ich nazwy to: Kupieckeskij Spusk, Sumskaja (od nazwy miasta Sumy) i Kałaczkowskaja (od nazwy miasta Kałacz). Po obu stronach tego długiego pasażu znajdowały się bogate i eleganckie sklepy, głównie jubilerskie i kuśnierskie, których właścicielami byli Żydzi. Im wtedy w Rosji powodziło się najlepiej. Koleżanka mojej Mamy z podwórka, Żydówka Rifka, czasem zapraszała Mamę do siebie. Było tam mnóstwo wspaniałych mięsnych potraw oraz tortów i moja Mama mogła zawsze coś z tych smakołyków przynieść za pazuchą swojemu małemu Bratu Witkowi.

W domu na Kupieckeskim Spusku mieszkali różni ludzie, między innymi małżeństwo śpiewaków operowych, w warunkach godnych ubolewania.

Moja Ciocia przerwała studia i razem z moją Babcią rozpoczęły pracę w tak zwanym Gubzdrowie, to jest Wydziale Zdrowia, a dzięki temu, że budynek tego biura stał nieopodal ich domu, mogły doglądać czasem dzieci, które były pod opieką starej już Bali.

Nastąpiła bardzo mroźna i śnieżna rosyjska zima. Babcia wraz z Ciocią przynosiły zdobyte gdzieś kłody drzewa i same je rąbały na podwórzu, by ogrzać jakoś mały pokój, w którym zamontowały piecyk – kozę, z rurą wylotową umieszczoną w lufciku. Pensja Babci i Cioci przywożona była ... na sankach. Był to tak zwany pajok, czyli porcja żywnościowa w postaci mąki ze sterzącymi z niej kawałkami słomy oraz kaszy jaglanej. Za jeden pud (około 16 kg) mąki Babcia moja sprzedała swój pierścienek z brylantem. Z jarzyn, które udało jej się kupić, przygotowywała zupę, tak zwany internacjonał, którą z całym garnkiem (do niedawna był u nas w Krakowie) niosły z Ciocią do biura, by tam na piecu móc ją ugotować.

W międzyczasie zachorowała Babcia Bala na zapalenie płuc. Mama z Wujkiem widzieli ją ostatni raz wynoszoną na stołeczku do karetki. Po kilku dniach pobytu w szpitalu Bala zmarła. Nie można jednak było zdobyć trumny, by ją pochować. Zrozpaczona

Babcia wróciła więc do pracy, usiadła przy biurku i zaczęła płakać. Widząc to jej kolega – Żyd, powiedział: „Pani Mario, czemuż od razu mi pani tego nie powiedziała? Zaraz wszystko pani załatwię”. I dzięki niemu Bałę można było pochować.

Po śmierci Bali dzieci zostawały w domu w ciągu dnia już bez żadnej opieki.

Babcia moja nie potrafiła gotować, bo jako młoda dziewczyna nie była wpuszczana do kuchni, a potem kulinarią zajmowała się już tylko Bala. Moja Mama i Wujek nie byli jednak grymaśnikami i zjadali nawet te nieudane placki, smażone przez Babcie na oleju słonecznikowym, zostawiane dla nich zawsze na owalnym półmisku (mam go do dziś!) na szafie. Całymi dniami, gdy Babcia z Ciocią były w pracy, dzieci ugaśniały się po podwórzu lub zjeżdżały przez tak zwaną pomyjną jamę z trzeciego piętra aż na dół kamienicy, gdzie był z niej wylot na ulicę. Czasem jeździły też na gapę tramwajami po mieście.

Na ulicach Charkowa władze bolszewickie wyświetlały wtedy przerażające filmy. Jednym z nich był film o głodzie nad Wołgą. Przedstawiano w nim głodne matki, które zjadały własne dzieci. Oczywiście film ten oglądała też moja Mama z Wujkiem. Babcia, przerażona takimi zajęciami dzieci, po powrocie wieczorem z biura – choć bardzo zmęczona – zaprzęgała się sama do sanek i woziła nimi dzieci po ośnieżonych ulicach. Strach było tylko pomyśleć, kim stałaby się moja Mama i Wujek, gdyby wyjazd do Polski nie doszedł do skutku!

Po Bali na ciężkie zapalenie płuc zachorowała moja Babcia i gdyby nie pomoc koleżanki mojej zmarłej już Cioci Zosi, Margarity – lekarki, choroba Babci skończyłaby się tragicznie. Ciocia Stefa nawet stanęła wtedy przed problemem oddania siostrzeńców do Domu dziecka. Babcia jednak dzięki Bogu wyzdrowiała.

Druga choroba dotknęła potem Ciocię Stefę, i był to już tyfus. Moją Mamę wysłano wtedy na jakieś bolszewickie kolonie pod Charków, na których czekała na pozwolenie powrotu do domu przez kilka turnusów. Wróciła wreszcie sama jakąś furmanką, nie doczekawszy się przyzwolenia na powrót. Stała przerażona pod drzwiami mieszkania, bojąc się wejść.

W jakiś czas potem zwolnił się dla nich w hotelu drugi pokój, i było już nieco luźniej. Przyjechała jednak znajoma rodzina mojej Babci i Cioci oraz państwa Melcerów (pan Melcer był znanym pianistą) ze Stawropola. Dostali pozwolenie na wyjazd do Polski i bilety na pociąg, więc przejazdem zatrzymali się u nich. Moja dziesięcioletnia Mama już wtedy wykazywała zdolności kulinarne i dawała przepisy na ciastka pani Melcerowej.

Tu chciałabym opowiedzieć pewną rozbijającą-przerażającą historię o moim małym jeszcze Wujku Witku. Na ulicy przed domem w Charkowie zaczęli go sowieccy żołnierze, pytając: „Gdzie twój ojciec?”. Babcia moja – niemy świadek tej sceny – zamarła z przerażenia. Dziecko jednak bez chwili namysłu odpowiedziało: „On jeszcze się nie urodził!” – i Babcia odetchnęła.

A to jeszcze dwa wierszyki z czasów rewolucji:

Jabłoczko, dokuda katiszsia?
Popadiesz w sowieckuju włast
Nie worotiszsia!

Cyplionok maleńkij, cyplionok żarenij
Paszoł po [pa] ulice gulat
Jewo pojмали, arestowali
K stienkie pristawili
Nagan nastawili
Wieleli pasport pokazat
„Ja nie sowieckij, ja nie kadeckij, ja nie narodnyj komisar”
Cyplionok maleńkij, cyplionok żarenij
Paszoł po [pa] ulice gulat

Tymczasem wojna domowa rozpętała się już na dobre. Z frontu przywożono zamarznięte trupy żołnierzy, układając je w całe stosy na ulicach. Do Babci dotarła też wiadomość o śmierci baronowej Paschenkopf, zamordowanej i ograbionej z całego jej majątku przez bolszewików, przy współudziale jej dam do towarzystwa i służby. Babcia nie jeździła już na front spotykać się z Dziadkiem, a o każdej ewentualnej rewizji w ich mieszkaniu powiadamiał ją zawsze jakiś w miarę porządny bolszewicki urzędnik z jej biura. Spuszczało się wtedy na sznurze przez okno wychodzące na podwórze rower mojego Dziadka.

Mój Dziadek Waldemar (Włodzimierz) już jako student na Charkowskim Uniwersytecie (studiował z przerwami z powodu udziału w I wojnie światowej) został w 1919 zmobilizowany w randze oficera do armii generała Denikina, do tak zwanej „wewnętrznej walki przeciw bolszewikom”. Ostatni list od Męża moja Babcia Maria Ejsmont-Kładni otrzymała 15 października 1919 roku ze stancy Łozowaja kolei południowych (100 km na południe od Charkowa). Z listu tego wynikało, że służył on tam w randze porucznika w Pułku Strzeleckim pierwszej Kaukasko-Kazachskiej Dywizji pod dowództwem generała Szkuro. Po rozproszeniu w 1920 roku armii Denikina, Wrangla i Szkury, ich sztaby przedostały się za granicę, zwłaszcza do Turcji przez Morze Czarne. Z tego też powodu moja Babcia, nie tracąc wciąż nadziei, będąc już w Polsce, rozpoczęła usilne poszukiwania Dziadka przez Czerwony i Biały Krzyż oraz Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

W armii białych walczył również mąż siostry mojego Dziadka Waldemara Olgi Kładni-Białynickiej-Birula, Leopold Białynicki-Birula.

Olga Kładni była jednym z czworga dzieci Augusta Kładni i jego żony baronówny Paschenkopf. Dziećmi tymi – jak już wspominałam – po ucieczce ich matki, prócz ojca, opiekowała się przez cały czas ich Babka, baronowa Paschenkopf. Najstarszą z nich Olgę posłała więc do Francji na studia i wykształciła na Sorbonie. Wybrała dla niej również jakiegoś niemieckiego czy austriackiego arystokratę na męża. Niestety, moja Ciotka

Olga, mimo sprzeciwu prababki, wyszła za mąż za Leopolda. Dla ułagodzenia gniewu prababki, małżeństwo Białynickich nadało nawet swojej jedynej córce jedno z imion prababki: Antonina (zmarła w Zakopanem w 1989 roku). Ich dobre chęci okazały się jednak daremne, gdyż prababka moja pozostała nieugięta.

Wuj Leopold Białynicki-Birula był na froncie krótko. Udało mu się bowiem z niego zbiec i znaleźć schronienie u J. Baranowskiego, męża kuzynki mojej Babci Marii, w Stawropolu. Ukrył on Wuję Leopolda w kanapie, siedząc na niej w czasie rewizji w swoim mieszkaniu. Do dziś pozostaje dla mnie zagadką, w jaki sposób udało mu się potem z żoną i córką przedostać do Polski.

A kiedy na przełomie lat 1919/1920 dotarła do Charkowa wieść o straszliwej i krwawej bitwie – rzezi pod Woroneżem (300 km na wschód od Charkowa) i rzece Woroneż czerwonej od krwi, moja Babcia była już prawie pewna losu swojego Męża.

POWRÓT DO OJCZYZNY – ROK 1923

Nastał rok 1920 i Stawropol powoli zaczęli opuszczać Polacy wraz ze swymi rodzinami jeszcze ocalałymi. Ich pociągi przed dalszą drogą do Polski zatrzymywały się na stacji w Charkowie. Tu też często przychodziła moja Babcia, by spotkać swoje dawne koleżanki ze Stawropola z ich dziećmi.

Powoli i ona zaczęła robić starania o zdobycie polskiego obywatelstwa, zwanego poddaństwem, bo – choć od zawsze je miała – na skutek długiego okresu przebywania na terenie Rosji, nie było ono już ważne. Pomagał Babci w tej długiej i żmudnej drodze J. Baranowski, mąż jej Kuzynki Cesi. Wrócił do Warszawy jako pierwszy przed swoją żoną z ich synkiem Witkiem, a ponieważ sam miał za sobą wszystko to, co czekało teraz moją Babcie, postanowił służyć jej dobrą radą i pomocą.

Do uzyskania obywatelstwa polskiego Babcia musiała sprowadzić z Hincewicz, z tamtejszej parafii dokumenty, świadczące o „czystości rasy” swojej rodziny, to znaczy braku Żydów do czwartego pokolenia wstecz.

Wuj Leopold Białynicki-Birula razem z żoną Olgą oraz córką Tosią byli już w Polsce. Został on nawet właścicielem Zakładów Drzewnych w Równem.

Na zaproszenie Białynickich zatem miała przyjechać do Polski moja Babcia z dziećmi. Ciocia Stefa natomiast pozostała jeszcze w Charkowie do 1927 roku, by dalej pracując mogła pomagać Babci, posyłając jej pieniądze na Bank w Warszawie. Przez te lata żyła bardzo skromnie i brała godziny nadliczbowe.

Zarobione w ten sposób w ciągu pięciu lat – kosztem niemałych wyrzeczeń – pieniądze, Ciocia lokowała w sowieckim banku w Charkowie. By móc je potem przed wyjazdem do Polski z Banku wydobyć, należało stawać nocami w długich kolejkach, najpierw po bloczki, potem drugi raz w oznaczanych przez Bank terminach po kolejne raty pieniężne w małych kwotach, gdyż Bank nigdy jednorazowo nie wypłacał całej należności. Tak więc odzyskanie swojego depozytu trwało całymi tygodniami. Gdy wreszcie

nadszedł dzień wyjazdu do Polski, do odbioru reszty pieniędzy (znacznie większej od już podjętej) i przesłania ich do Polski Ciocia upoważniła swoją koleżankę, która jednak zarówno wszystkie Cioci oszczędności jak i całe wyposażenie jej charkowskiego mieszkania (meble, książki) „zachowała” na zawsze dla siebie.

I tak w 1923 roku Babcia moja z dziećmi opuściła Rosję. Moja Mama miała wtedy jedenaście lat, a Wujek Witek dziewięć. Granicą rosyjsko-polską była wtedy po stronie rosyjskiej Szepietówka, a polskiej Zdobunów.

A gdy ich pociąg wjechał już na teren Polski, moja Mama na widok białych orłów usypianych ze żwiru na poboczach torów, zaczęła płakać ze wzruszenia.

Warto tu również dodać, że w czasie tej podróży moja Babcia uniknęła rewizji bolszewickich straży, a to za sprawą żony jakiegoś wysoko postawionego sowieckiego urzędnika, która zapalała do Babci dziwną sympatią i towarzyszyła jej przez całą podróż z Charkowa aż do granicy polskiej.

Tak więc już w Polsce zamieszkali we troje w mieszkaniu Ciotki Olgi, najpierw w Równem, potem w Radomiu. Tu moja Mama i Wujek mogli wreszcie rozpocząć swoją edukację i również na lekcjach prywatnych nadrobić szkolne zaległości. Do pierwszej Komunii Świętej Mama przystępowała zupełnie sama, bez białej sukienki, nad czym zawsze ubolewała. Z Radomia Wujostwo Białyniccy brali moją Mamę i jej Brata na wakacje do Garbatki i do Zakopanego. W Zakopanem wynajmowali wtedy całą willę pana Cetnarskiego nad Bystrem. Tu również miał swój dom pan Kiejnowski, szwagier ciotki Olgi Kładni-Białynickiej-Birula. Był on właścicielem kamieniołomów w Zakopanem koło Skoczni. W Krakowie państwo Kiejnowscy mieli również swoją, wybudowaną tuż przed wojną, kamienicę, przy ul. Karmelickiej 62 (dziś sklep SONY). Do Zakopanego Kiejnowski przyjeżdżał ze swoją żoną Adelą Białynicką-Birula-Kiejnowską (siostrą Leopolda) oraz z jej córką z pierwszego małżeństwa, Wandą Wyszomirską. A ponieważ zarówno Tosia Białynicka (córką Olgi i Leopolda), jak i jej kuzynka Wanda Wyszomirska oraz moja Mama Helena i jej brat Wiktor byli prawie w tym samym wieku, dzieci bardzo miło spędzały razem wakacje.

Rodzina Białynickich-Birula miała na Podolu swój majątek Zahorze w miejscowości Białynice (około 50 km na północny zachód od Mohylowa, Mogilew Podolski). W czasie rewolucji majątek ten dostał się w ręce bolszewików, a Białyniccy w straszliwych warunkach, jadąc bydłocymi wagonami, dotarli do Warszawy. Podczas tego transportu zmarła po ciężkiej chorobie córeczka Ciotki Adeli z pierwszego małżeństwa, Anielka Wyszomirska.

W jakiś czas potem dwie twarde i nieustępliwe niewiasty, a więc Ciotka Adela Białynicka-Wyszomirska i jej siostra Katia Białynicka-Duninowa (obie lekarki stomatologii nigdy niepraktykujące!) postanowiły – mimo wielu czyhających na nie niebezpieczeństw – wrócić do majątku Zahorze, by przywieźć z niego choć część swojego mienia, nierozgrabionego jeszcze przez bolszewików. W tę podróż wybrały się więc już końmi oraz z bronią! Wróciły z tej eskapady – dzięki Bogu – całe i zdrowe.

Po przyjeździe do Polski Babcia moja nie zrezygnowała z poszukiwań Dziadka. Za poradą kuzyna Baranowskiego i z jego pomocą rozsyłała więc wszędzie swoje prośby

o jakiejkolwiek informacji dotyczące losów Męża. Pisała do Egiptu, Turcji, Serbii, Łotwy, Bułgarii, Rumunii, Francji i Niemiec. Odezwał się jedynie stryjeczny brat Dziadka Wilhelm Kładni z Lipska. Niestety i on od wojny nic o swoim bracie nie wiedział.

W trakcie takich poszukiwań Babcia pomijała Ministerstwo Spraw Zagranicznych w ogarniętej już bolszewizmem Rosji, gdyż byłoby to zbyt niebezpieczne zarówno dla niej samej i jej dzieci (uniemożliwiłoby w najlepszym razie ich wyjazd z Rosji), jak i dla pozostałej w Rosji rodziny Dziadka. Informacja taka o losie zaginionego była zresztą u bolszewików bardzo kosztowna, wynosiła bowiem 4 i pół „czerwońca”, to jest dukata (1 dukat = 3,5 grama czystego złota)!

Jeszcze długo potem, gdy przychodziły już w Polsce listy od Ciotki Olgi – a miała ona pismo bardzo podobne do swojego brata – moja Mama łudziła się nadzieją, że Ojciec jej żyje.

KRAKÓW

Po niespełna dwóch latach Babcia wraz z dziećmi opuściła Radom i przeniosła się do Krakowa. Tu bowiem Wuj Białynicki objął posadę dyrektora w Monopolu Spirytusowym, zapewniając w ten sposób pracę i dla niej. Zamieszkali w małym mieszkanku w Podgórzu przy ulicy Dąbrówki.

W 1927 roku przyjechała wreszcie z Rosji moja Ciocia Stefa. Przez kilka dni bawiła jeszcze w Warszawie u kuzynostwa Baranowskich, by na koniec dotrzeć z dziećmi do siostry Marii. Jako doskonała i wprawna ekonomistka z cenzusem i praktyką mogła tu u Wuja Leopolda w Monopolu dostać prawie od zaraz dobrą posadę. I tak obie siostry pracowały znów razem.

Nie sposób w tym miejscu nie docenić roli, jaką w czasie wojny odegrał Monopol Spirytusowy w Krakowie, umożliwiając wielu żonom krakowskich profesorów zarówno ich zatrudnienie, jak i prowadzenie przez nie tajnego nauczania na kompletach. Były to między innymi panie: Vetulani, Schnaydrowa, Piotrowiczowa oraz Lehr-Spławińska. Ta ostatnia okazała mojej Babci wielkie serce, oddając w momencie zwolnienia jej z pracy, całą swoją premię.

W czasie samej już okupacji dyrektorem Monopolu został Austriak Kamerer, do dziś jeszcze wspominany przez wielu krakowian z najwyższą czcią i szacunkiem. Po każdorazowej niemal łapance w Krakowie nakazywał wręcz swoim pracownikom, by ci sporządzali natychmiast pełne listy znajomych osób zaaresztowanych przez Niemców. W ten sposób uratował życie wielu ludziom.

Dzięki znajomościom Wuja Białynickiego z różnymi faktorami – rzecz jasna nie za darmo – moja Ciocia Stefa znalazła mieszkanie na Grzegórkach przy ulicy Chodkiewicza. Były to już dwa pokoje z kuchnią i balkonem, ale bez łazienki. W jakiś czas potem tuż obok przy ulicy Wincentego Pola pianista pan Urbański dobudował akurat drugie piętro w swojej kamienicy. I tak osiadły wreszcie w dwupokojowym już z łazienką

mieszkań, w którym mieszkaliśmy potem wszyscy aż do 1959 roku.

Wujek Witek skończył gimnazjum św. Jacka i zamierzał studiować medycynę. Niestety, wobec braku odpowiedniego poparcia i znajomości nie było to wtedy możliwe. Studiował zatem przez jeden rok Rolnictwo, a potem dopiero wrócił na Wydział Lekarski Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Jeszcze w gimnazjum przyjaźnił się bardzo z Janem Kostrzewskim, późniejszym Ministrem Zdrowia, z którym spotkał się ponownie, studiując medycynę w Krakowie. Profesor Kostrzewski, znając dzięki Wujkowi bardzo dobrze losy naszej rodziny, odwiedzał w latach siedemdziesiątych moją Babcie. Ja sama natomiast nie mogę zapomnieć Jego wielkiego serca i pomocy, jaką okazał mojej Mamie i mnie, będąc już Prezesem PAN-u, w czasie ciężkiej choroby mojego Brata Wiesława, a w rok później mojego Męża Jana Taklińskiego.

Moja Mama Helena rozpoczęła swoją naukę najpierw w Gimnazjum im. H. Kaplińskiej, potem w Seminarium Nauczycielskim, lecz obie te szkoły nie były dla niej, jak widać, dobrym wyborem. Stała się nim na koniec Szkoła Sztuk Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego przy alei Mickiewicza, jedna z dwóch o tym profilu w Polsce (druga była we Lwowie). Egzamin wstępny zdała tu celująco.

Po kilku latach dyrektor Białynicki zostaje przeniesiony na równorzędne stanowisko do Lwowa, również w Monopolu Spirytusowym.

W tym czasie w całej Polsce zaczynają się redukcje w pracy. Moja Babcia Maria Kładni otrzymuje wypowiedzenie i tym samym zostaje sama z dwojgiem kształcących się dzieci na utrzymaniu. Ciocia Stefania Ejsmont w Monopolu pozostała, przejmując w ten sposób już po raz drugi w życiu po czasach charkowskich rolę jedynej żywicielki rodziny. Nie był to zresztą raz ostatni.

Ciocia moja była osobą niezwykle i jedyną w swoim rodzaju. Poświęciła ona dla rodziny swoje życie osobiste, by przez cały czas, aż do ostatniego swego tchnienia pomagać swej siostrze, jej dzieciom, a potem dzieciom swej siostrzenicy, a mojej Mamy Heleny, to jest mojemu Bratu Wiesiowi i mnie samej. Należy tu jeszcze wspomnieć o paczkach i pieniądzach, posyłanych dla wnuka Jej kuzyna Baranowskiego z Warszawy, którego ojciec Witold zginął w Powstaniu Warszawskim. A pomoc, którą niosła wszystkim była zawsze systematyczna i bardzo dyskretna.

Dlatego dzisiaj, pisząc o Niej i o mojej Babci, która wyniańczyła mnie i mojego Brata, nie potrafię myśleć bez łez i sądzę, że jeśli jest jakieś Niebo, One dwie powinny zasiąść w najwyższym jego kręgu.

Wróćmy jednak do mojej Mamy, która po ukończeniu Szkoły Sztuk Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego – wobec braku dla siebie zatrudnienia w Krakowie – wyjechała na zaproszenie Wujostwa Białynickich do Lwowa i tam dzięki protekcji Wuja Leopolda dostała pracę na pocztę z pensją miesięczną 105 złotych, odsyłając większość z niej Babci do Krakowa. Pracowała tam przez 9 miesięcy.

Będąc jeszcze w swojej szkole poznała mojego Ojca Witolda Wodzinowskiego h. Poraj, którego Szkoła Budowlana mieściła się w tym samym, co Mamy, budynku, przy alei Mickiewicza.

Rodzice mojego Ojca, Bolesław i Ewa Wodzinowscy, mieszkali wtedy na Wołyniu, gdyż Dziadek mój po ukończeniu Instytutu Górniczego w Petersburgu jako inżynier górnik sprawował na stanowisku dyrektora zarząd nad kopalniami bazaltu, kolejno w Berestowcu, Kamienskoje oraz w Janowej Dolinie na Wołyniu. Właścicielami kamieniołomów bazaltu, zwanego anamezytem, w Berestowcu byli państwo Rogozińscy, którzy żyli w wielkiej przyjaźni z moimi Dziadkami Wodzinowskimi. Dziadkowie mieli tu do dyspozycji cały dom z ogrodem. Zarówno Janowa Dolina, jak i Berestowiec położone były w pobliżu Równego i Kostopola. Prócz kolejki wąskotorowej, można tam było dojechać również dreżyną, a jako że droga prowadząca przez przepiękne lasy mogła dostarczać dużo niezapomnianych wrażeń, ten środek transportu był najczęściej wybierany przez młodego jeszcze mojego Ojca, jego siostrę Marysię i kilku kuzynów, którzy często przyjeżdżali tu na wakacje. Należy jednak zauważyć, że często taka podróż kończyła się lądowaniem w kłujących krzakach leśnych.

Mój Dziadek Bolesław lubił łowić ryby i jeździł często na polowania, co nie znajdowało zbyt wielkiego uznania w oczach mojej Babci Ewy, gdyż Dziadka nie było wtedy w domu. Pewnego razu wybrali się z kolegą aż do sienkiewiczowskich Żółtych Wód. Zmęczeni i głodni po polowaniu wstąpili na obiad do jakiegoś zajazdu. Gospodarz, niezwykle gościnny, uraczył ich wspaniałą mięsną potrawą, a gdy mój Dziadek zapytał go, jakie to było mięso, odpowiedział: „Panie, to taki malutki piesek”(!)

Babcia Ewa wyjeżdżała stąd często do takich kurortów jak Kisłowodsk czy Truskawiec. Warto tu także dodać, że kostką bazaltową właśnie z Berestowca wybrukowane były całe nasze krakowskie Aleje Trzech Wieszców.

Stryjem natomiast mojego Ojca Witolda był znany polski malarz, uczeń Jana Matejki, Wincenty Wodzinowski, autor głównie scen z życia ludu w podkrakowskich Bronowicach, a także jako jeden obok Kossaka, Styki i Rozwadowskiego współtwórca Panoramy Racławickiej, o czym w dzisiejszych czasach nie zawsze się pamięta. Stryj był również prezesem sportowego Klubu Krakowskiego „Sokół”.

Zarówno całe dzieciństwo, jak i młode lata Wincenty Wodzinowski spędził w rodzinnym dworcu w Igołomi pod Krakowem. Już jako młody chłopiec dużo rysował i wykazywał wielkie zainteresowanie sztuką malarską. Pewnego razu zagościł u nich w Igołomi jakiś bardzo zamożny hrabia, który zadziwiony talentem młodego człowieka postanowił wysłać go do Monachium i opłacić mu studia na tamtejszej Akademii Sztuk Pięknych, pod jednym wszakże warunkiem, iż pierwszy nagrodzony na wystawie obraz Wincentego zostanie jego własnością. Tak też się i stało.

Po Monachium Stryj kontynuował studia na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, gdzie otrzymał już tytuł profesora.

Po ślubie z Franciszką Gryglewską, zwaną Franulą, stryjostwo zamieszkali najpierw w dworcu igołomskim, potem w Krakowie, kolejno przy ulicach Długiej i Pańskiej. I tu z okazji imienin Stryja pod ich dom przychodziła zawsze orkiestra chłopska w sukmanach, by zagrać ludowe melodie. Nawet po jego śmierci w 1940 roku chłopcy w Bronowicach nie zapomnieli o swoim malarzu, stawiając na jego grobie piękny dREW-

niany krzyż z daszkiem i siedzącym na jego szczycie kogucikiem. Dzięki temu grób ten (w pobliżu grobu Jana Matejki) był już z daleka zawsze rozpoznawalny.

Dopiero w latach osiemdziesiątych córka Stryja Wincentyna Stopkowa, chowając w nim swego męża, scenografa Adama Stopkę, zastąpiła ów piękny regionalny nagrobek nieforemną bryłą granitu, na której niestety jakoś pominęła tytuł naukowy swego ojca: profesor ASP, nie zapomniała jednak go dopisać przy nazwisku swojego męża.

Mój Ojciec, pobierając nauki w Krakowie, pomieszkiwał w pracowni malarskiej Stryja przy ulicy Długiej, podmalowując mu niektóre obrazy, które potem kilkoma dotknięciami pędzla, Stryj już tylko podpisywał.

Po ukończeniu Szkoły Budowlanej i zdaniu wymaganych na AGH egzaminów, już z tytułem inżyniera budowlanego uczęszczał jeszcze przez kilka lat do konserwatorium w klasie skrzypiec u profesora Bobilewicza. Na Akademię Sztuk Pięknych – mimo zakazu rodziców – poszedł jednak już po wojnie, kończąc ją w pracowni profesora W. Weissa, z celującymi ocenami. Studiowali z nim wtedy również Andrzej Wajda i Jerzy Kawalerowicz.

W październiku 1938 roku w kościele świętego Mikołaja w Krakowie moi Rodzice wzięli ślub, na którym byli także Stryjostwo Wincentowie Wodzinowscy.

ROK 1939 – II WOJNA ŚWIATOWA

Ojciec mój jako inżynier budowlany obejmuje kolejne posady w Czechowicach-Dziedzicach, Czortkowie i – dzięki poparciu Stryja Wincentego Wodzinowskiego – w Starachowicach. I tu pewnego pięknego wrześniowego popołudnia spacer po pracy przerwała moim Rodzicom wojna. Nie wrócili już do domu, lecz tak jak stali, w letnich ubraniach rozpoczęli swoją ucieczkę. Przeżyli piekło, gdy wraz z innymi uciekinierami przedzierali się przez lasy, a zniżające się tuż nad ich głowami niemieckie samoloty bezustannie do nich strzelały. Tak idąc czy jadąc furmankami dobrnęli w końcu do Janowej Doliny na Wołyniu, do moich Dziadków. Było tu jeszcze względnie spokojnie. Już w ciepłych ubraniach postanowili szybko wracać do Krakowa. W drodze powrotnej jednak zostali zatrzymani wraz z innymi Polakami przez bolszewików i wpędzeni do chlewu, gdzie w kompletnych ciemnościach przesiedzieli całą dobę. Nazajutrz rzucono ich na śnieg z karabinami przytkniętymi do ich głów. Mojej Mamie zabrali wtedy złoty zegarek, a od tej pory, gdy tylko zaczynały się chłodne i wietrzne dni cierpiała ona na pokrzywkę, która utrzymywała się jeszcze przez z górą 20 lat. Wreszcie kazano im szybko bieć kilkaset metrów aż do granicy. Mama moja upadła i ktoś musiał ją już nieść dalej na rękach.

Po takich przejściach znaleźli się na Boże Narodzenie w Białymstoku, spędzając Wigilię u zupełnie obcych, ale jakże serdecznych i miłych ludzi, państwa Budzianowskich. Stąd dotarli wreszcie do Warszawy, do Stryja mojego Ojca, Jerzego Wodzinowskiego.

Stryj Jerzy kilka lat później uczestniczył z ramienia Czerwonego Krzyża w ekshumacji i identyfikacji zwłok polskich oficerów, bestialsko zamordowanych przez bolszewików

w Katyniu. Wśród zamordowanych figurowało również nazwisko kuzyna mojego Ojca Witolda – kapitana Antoniego Jasieńskiego. Stryj Jerzy zmarł w Warszawie w latach pięćdziesiątych.

Prócz list pomordowanych polskich oficerów w Katyniu, podawanych w każdym swoim kolejnym numerze, „Goniec Krakowski” z 28 maja 1943 roku nr 123 zamieścił również cały artykuł na temat „ofiarniej pracy ekipy Polskiego Czerwonego Krzyża”. Prace te wykonywane były pod kierownictwem doktora Mariana Wodzińskiego, asystenta Uniwersyteckiego Instytutu Medycyny Sądowej w Krakowie. Wśród członków jego ekipy podkreślono również „bezprzykładną ofiarność” Stryja mojego Ojca Witolda Wodzinowskiego, Jerzego Wodzinowskiego z Warszawy, który „jako referent nowych bratnich mogił prócz badania i identyfikacji zwłok dodatkowo jeszcze kierował grupą oddanych mu do dyspozycji jeńców sowieckich, zajętych kopaniem nowych mogił dla zbadanych już zwłok i opatrzonych kolejnym numerem ewidencyjnym”.

Po przyjeździe z Warszawy od Stryja Jerzego, w Krakowie czekały już na moją Mamę same przerażające wieści.

Trzecią wreszcie w tej smutnej, ale jakże pięknej opowieści o mojej Rodzinie, kolejną bohaterską postacią w walce o polskość był niewątpliwie mój Wuj Wiktor Kładni.

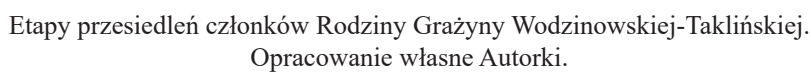
Kiedy rok wcześniej odprowadzał moją Mamę do pociągu jadącego do Czortkowa, nie wiedziała jeszcze, że widzi Go po raz ostatni w życiu.

Jako student V roku Medycyny w Krakowie przebywał w lecie 1939 roku na obozie szkoleniowo-wojskowym w Kowlu Wołyńskim. Jeszcze do Kowla moja Mama pisała mu paczki żywnościowe z Czortkowa.

Po powrocie z Kowla Wujek spotkał na Plantach pod Collegium Novum w Krakowie swojego kolegę medyka nazwiskiem Sznepka i myśląc, że i jemu sprawy związane z ich tajną organizacją studencką (siedziba jej mieściła się w Szarej Kamienicy) nie są obce, opowiedział o planowanym wyjeździe na Węgry. I wtedy wiatr nagle odchylił połę płaszcza „kolegi”, a Wujek z przerażeniem dostrzegł pod nią znaczek niemiecki ze swastyką. Kompletnie już załamany wrócił do domu. Na drugi dzień wybrał się w odwiedzinach do znajomych Babci i Cioci, państwa Zajączkowskich zamieszkałych przy ulicy Tarnowskiego w Podgórzu.

Tego samego dnia w naszym mieszkaniu przy ulicy Wincentego Pola Gestapo zrobiło już rewizję. Niemcy nie ukrywali radości znalazłszy zdjęcie kolegi Wujka, którego zdążyli złapać na Dworcu przy wyjeździe na Węgry. Pytali Babcię, jak był Wujek ubrany, czy miał kapelusz? I moja Babcia pomyliła się, mówiąc, że tak. Wujek wrócił jednak bez kapelusza, minął nawet niepostrzeżenie Niemca stojącego w bramie. Na naszym drugim piętrze czekał już na niego nasz sąsiad, stolarz pan Grabowski, który błagał Wujka, by ten nie wychodził z jego mieszkania, obiecując że później ukryje go nawet w swoim warsztacie przy ulicy św. Gertrudy. Wujek jednak ze strachu o Matkę nie posłuchał i wyszedł.

Moja Babcia rzuciła Mu jeszcze przez okno Jego kapelusz.



Etapy przesiedleń członków Rodziny Grażyny Wodzinowskiej-Taklińskiej.
Opracowanie własne Autorki.

Najpierw zawieźli Go na ulicę Pomorską na „przesłuchanie”, potem osadzili w więzieniu na Montelupich.

W tym czasie w Krakowie mieszkała przy ulicy Michałowskiego pewna kobieta o nazwisku Dydowa czy Dybowa, kochanka gestapowca, który rzekomo miał pewne informacje na temat więźniów z Montelupich. Za sporą opłatą korzystało z nich – jak się później okazało – dużo rodzin aresztowanych Polaków, między innymi moja Babcia, a ponieważ pewne dane o Wujku zgadzały się z opisem tej kobiety, trudno było w nie nie wierzyć. Twierdziła ona – przysięgając przy tym na główki swych wnucząt – że Wujek żyje i pracuje w Lipsku jako asystent jakiegoś lekarza. O ilości więźniów już wywiezionych na egzekucję wiedziały jednak zawsze zakonnice z klasztoru przy ulicy Warszawskiej, kiedy to Niemcy zamawiali u nich mniej niż zwykle porcji obiadowych dla zaaresztowanych w więzieniu Montelupich Polaków.

Gdy jednak ktoś przyniósł Babci gryps w pudełku od zapalek z zawiadomieniem, kiedy jadą kopać sobie groby i kiedy zostaną rozstrzelani, kobieta ta przepadła bez śladu.

Pod koniec grudnia przyszło do nas Gestapo, wałąc kolbami w drzwi. Babcia moja nie otworzyła. Niemcy powiadomili więc tylko sąsiadkę, że Wujek został rozstrzelany za zdradę stanu. Babcia, słysząc to przez drzwi, zemdląła.

Wujek miał swojego psa owczarka, którego trzymał przeważnie u państwa Zajączkowskich, ze względu na ich bardzo duże mieszkanie i swoje zajęcia na uczelni. W dniu egzekucji pies ten zaczął strasznie wyć i biegać po całym mieszkaniu.

Dopiero w 1945 roku została przeprowadzona ekshumacja pomordowanych Polaków w Forcie Krzesławickim. Było ich 440. Moja Ciocia Stefa w jednej z paczek znalazła but, fragment materiału z ubrania i szalik Wujka (całe w wapnie). Prócz tego była tam jeszcze czerwona tarcza, przypominająca szkolną, z numerem zwłok 354.

Tak oto naszą rodzinę pozbawiono już wszelkich złudzeń.

Do Krzesławic jako dziecko jeździłam bardzo często w lecie z moją Babcią. Była to wtedy całodniowa eskapada, najpierw pociągiem do Grębałowa, potem już tramwajem pod kombinat w Nowej Hucie. Dalej szło się bardzo długą drogą przez pola aż do samego Wzgórza. Dzisiaj ja już sama tam jeżdżę.

Moja Babcia mimo usilnych i ciągłych starań oraz poważnej choroby serca nie dostała po wojnie nigdy żadnego odszkodowania. Jako była pracownica Monopolu Spirytusowego zwróciła się więc z taką prośbą do swojego zakładowego lekarza, pani doktor Kościuszkowej. Ta jednak oświadczyła, że ani zapomoga, ani renta Babci się nie należy! Dopiero w 1961 roku udało się mojemu Ojcu załatwić dla niej bardzo skromną rentę, a od marca 1973 (a więc rok przed swoją śmiercią) została członkiem podopiecznym ZBoWiD-u.

Jeszcze tuż po wojnie w 1946 roku w naszym mieszkaniu na Grzegórkach pojawił się pewien młody mężczyzna. Przedstawił się mojej Babci i Mamie jako kolega Wujka Witka ze studiów, a nazywał się Roman Hul. Pamiętam go dobrze – choć miałam wtedy 4 lata – że był bardzo przystojny i miły. Teraz, po latach widzę to jednak w zupełnie innym świetle. Na drugi raz przyniósł dla mnie jakieś piękne kolorowe zdjęcia niemieckich dzieci i prosił Rodziców o przechowanie na krótki czas swojej walizki. Obiecał Babci, że wystara się dla niej o ja-

kąś zapomogę za Syna ze Studenckiego Związku. W tym celu umówił się z nią na Uniwersytecie, by zdobyć zaświadczenie o studiach Wujka i jego rozstrzelaniu, a także wziąć od Babci upoważnienie na odbiór tychże pieniędzy. W czasie wakacji przejeżdżaliśmy z Rodzicami przez Wrocław i tu Rodzice moi nagle zauważyli go na ulicy. Zniknął jednak bez śladu. Już w Krakowie mój Ojciec otworzył wtedy ukrytą na strychu walizkę pana Hula, w której – jak mówił – były same jakieś podejrzane i niebezpieczne papiery. Wszystko to zostało potem spalone przez moich Rodziców.

Dzisiaj jeszcze w krakowskiej książce telefonicznej figurują jednak nazwiska Sznapka i Hul!

Na Grzegórkach, przy ulicy Wincentego Pola mieszkaliśmy wszyscy do 1959 roku, to znaczy moja Babcia Maria Kładni, Ciocia Stefania Ejsmont oraz moi Rodzice Witold i Helena Wodzinowscy razem z moim Bratem Wiesławem i ze mną.

W 1959 jesienią Rodzice wraz z dziećmi przenieśli się na ulicę Żelechowskiego. W 1964 roku zmarł na zawał mój Ojciec Witold, potem w 1974 moja Babcia Maria, za rok zaś jej Siostra Stefania. Mój Brat Wiesław w wieku 41 lat zmarł na raka płuc w 1989 roku. Rok po Nim, na zanik mózgu umiera też mój Mąż Jan Józef Takliński, bratanek rektora Akademii Górniczo-Hutniczej profesora Władysława Taklińskiego, zmarłego wraz z innymi krakowskimi profesorami w obozie koncentracyjnym.



Trzy pokolenia przy stole rodzinnym. Fotografia wykonana około roku 1951. Pokrewieństwo (w nawiasie) określone w odniesieniu do Grażyny Wodzinowskiej. Od lewej: Bolesław Wodzinowski (Dziadek), Ewa Wodzinowska z d. Maryńczak (Babcia), Wiesław Wodzinowski (Brat 1948–1989), Maria Kładni z d. Ejsmont (Babcia 1886–1974), Helena Wodzinowska z d. Kładni (Matka 1912–2005), Grażyna Wodzinowska (1942–2013), Witold Wodzinowski (Ojciec † 1964), prawdopodobnie Maria z Wodzinowskich Dobrzyńiecka (Siostra Ojca).

Trzy lata temu w styczniu 2005 zmarła na koniec Moja Mama, Helena Wodzinowska, a z Jej śmiercią najtrudniej jest mi się pogodzić. Tak więc ja, już jako emerytka PAN-u, zostałam zupełnie sama.

Rodzice natomiast mojego Ojca Witolda, Ewa i Bolesław Wodzinowscy, aż do wybuchu wojny 1939 roku mieszkali w Janowej Dolinie na Wołyniu. Prawie natychmiast po „wizycie” u nich moich Rodziców, Heleny i Witolda, którzy dotarli tam w trakcie wielkiej ucieczki, do ich domu przyszli z bronią Ukraińcy z nakazem na piśmie rozstrzelania mojego Dziadka, a byli to w większości pracownicy Dziadka z kopalni! Tego dnia jednak mój Dziadek pojechał odwiedzić swoją Siostrę Elżbietę Wodzinowską w Równem. Zastali więc tylko osłupiałą z przerażenia moją Babcię Ewę. Jeszcze w nocy Dziadkowie opuścili Janową Dolinę i zatrzymali się na krótko u swojej córki Marysi we Lwowie. Stąd już do Krakowa przywiózł ich swoim samochodem kolega mojego Ojca.



Grażyna Wodzinowska-Taklińska

Ciotka zaś mojej Mamy, Olga Białynicka-Birula, za namową Ukraińców – pracowników jej Męża Leopolda, postanowiła jako pierwsza przed Mężem wyjechać ze Lwowa do Krakowa wraz z kosztownościami – jak przykazali jej Ukraińcy. Gdy Wuj wrócił do domu już jej nie zastał, do Krakowa również nie dotarła. Szukał żony przez kilka lat i jedynym śladem, jaki zdobył mogło być więzienie dla kobiet we Lwowie, tak zwane Brygidki. Tam też prawdopodobnie zginęła z rąk bolszewików. Wuj Leopold zmarł tuż po okupacji na raka, w kamienicy swojej siostry Adeli Kiejnowskiej w Krakowie, przy ulicy Karmelickiej 62.

Ich córka Antonina Białynicka-Birula-Prohaska wraz z mężem Witoldem Prohaską mieszkała przez wiele lat w Zakopanem w willi Kornela Makuszyńskiego. Mąż jej chorował na płuca i w związku z tym prawie całe swoje życie przebywał w leczeniu, najpierw w prywatnej lecznicy kuzyna – lekarza swojej żony Michała Dunina, potem już w Sanatorium Gruźliczym w Zakopanem. Zmarł z początkiem lat osiemdziesiątych, potem, dwa dni przed moim Bratem Wiesławem, w październiku 1989 roku zmarła ona sama.

Syn Cioci Tosi Marek Prohaska mieszka do dziś z rodziną w Warszawie.

Całą tę piękną – choć nazbyt bolesną – historię losów mojej Rodziny spisałam w oparciu o dokumenty i fotografie, przekazane do Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie, a także na podstawie wieloletnich opowiadań mojej Mamy, Babci i Cioci.

Na koniec – nie bez pewnej dozy smutku i goryczy – wypadło mi też zauważyć wielką przepaść w kontaktach międzyrodzinnych i międzyludzkich, oddzielającą ludzi dzisiejszych od tamtych z minionej epoki, którzy w sposób jakże przyjazny, pełen ciepła, miłości i poświęcenia, graniczący z narażaniem własnego życia, wzajemnie się wspomagali.

A prawo do takiego właśnie osądu dało mi i daje moje własne życie.

Kraków, 1 lutego 2008 roku

Nota redakcyjna: Opublikowanie na łamach „Biuletynu Biblioteki Jagiellońskiej” wspomnień Grażyny Wodzinowskiej-Taklińskiej o jej własnej – tej bliskiej i tej dalszej – rodzinie uzasadniają co najmniej dwa istotne argumenty. Już przy wstępnej lekturze tekstu zachwyca piękna polszczyzna i prostota stylu, niepozbawionego specyficznej poetyki jej prozy autorskiej, będącej niejako odbiciem własnej osobowości pisarki. Drugi argument jest już natury merytorycznej. Opisane przez Autorkę koligacje rodzinne, życiowe losy, niekiedy prawdziwie tragiczne, jej przodków, relacje o konkretnych miejscach, czasie i rozgrywających się w nich wydarzeniach w ciągu bez mała dwustu lat – to wszystko osadzone jest w ogólnym kontekście historycznym. Autentyzm i wartość poznawczą tych wspomnień umacnia fakt, że ich źródłem były zarówno relacje ustne osób najbliższych, jak też zachowane dokumenty i zapiski rodzinne. Te ostatnie znajdują się obecnie w Oddziale Rękopisów Biblioteki Jagiellońskiej pod następującymi sygnaturami:

Przyb. 2/09 – *Cena przetrwania*, autograf;

Przyb. 592/05, Przyb. 193/08, Przyb. 194/08, Przyb. 195/08 – dokumenty i notatki dotyczące rodziny Pietraszewskich, Ejsmontów, Kładnich, Paschenkopfów, Białynickich-Birulów, Wodzinowskich, Taklińskich.

Czystopis maszynowy, przygotowany przez Autorkę, uległ koniecznym zmianom adiustacyjnym i redaktorskim zgodnie z zasadami stosowanymi w naszym „Biuletynie”.

* * *

Autorka publikowanych powyżej wspomnień rodzinnych, Grażyna Wodzinowska-Taklińska, urodziła się w Krakowie (28 października 1942). Ze względu na swoje cechy charakteru i szczególną osobowość była na swój sposób kobietą niezwykłą. Wyrósła w rodzinie herbowej (Poraj po mieczu, Rawicz i Korab po kądzieli), o korzeniach kresowych. W latach swej młodości chłoneła opowieści babci, ciotek oraz własnych rodziców o dawnych dziejach swoich przodków. Ich rodowody wskazują na pochodzenie polskie (Wodzinowscy, Pietraszewscy), austriackie (Paschenkopf), kurlandzkie (Ejsmont), słowackie (Kładni), szwedzkie (Clavitter).

Mimo że obdarzona była nieprzeciętną pamięcią, z czasem zaczęła konfrontować zasłyszane opowieści z dokumentami zachowanymi w domu rodzinnym. Zasłyszane

wspomnienia przełała na papier już jako osoba dojrzała, w pełni świadoma wagi utrwalenia dla potomnych relacji o życiowych przejściach swoich przodków, niejednokrotnie dzielących wraz z tysiącami innych rodaków los uczestników powstań narodowych, wojen, tułaczki, wreszcie skomplikowanych działań zmierzających do powrotu do Ojczyzny. W jej pamięci zostały budzące grozę opowieści o stracie bliskich i grabieży majątku, lecz równocześnie – jak to bywa we wspomnieniach z odległych lat – przetrwał w niej pewien sentyment do języka i poezji rosyjskiej. Potrafiła z pamięci recytować poezje Puszkina czy Niekrasowa i przekładać je wierszem w pięknej polszczyźnie. Z wykształcenia była filologiem klasycznym, co pozwoliło jej uzyskać stanowisko asystentki w Pracowni Słownika Łaciny Średniowiecznej w Polskiej Akademii Nauk, gdzie pracowała blisko 40 lat.

Owo przygotowanie klasyczne zapewniło jej nie tylko aktywność zawodową, lecz także objawiło się w rzadkiej dzisiaj umiejętności translatorskiej. Okazało się bowiem, że przetłumaczyła heksametrem łacińskim fragmenty poematów Adama Mickiewicza (*Grażyna*) i Georga Byrona (*Giaur*).

Z natury skromna, niemal z dziecięcą otwartością odnosiła się do swego otoczenia i przyjaciół, przecież bardzo długo nie ujawniała swoich dokonań literackich. Ujawniła je właściwie dopiero w ostatnim okresie życia. Były to piękne wiersze polskie i publikowane powyżej wspomnienia. Trzeba także powiedzieć, że ta wrażliwość na słowo w pełni harmonizowała z jej wrodzoną dobrocią, a także zachowaną do końca urodą i poczuciem elegancji.

Grażyna Wodzinowska-Taklińska odeszła od nas nagle (tętniak serca) w samotności (31? grudnia 2013). Przypuszczalna data dzienna została określona przez patologa medycyny sądowej.

* * *

Powyższa *Nota redakcyjna* została opracowana na podstawie informacji przekazanych przez Annę Kozłowską – zaprzyjaźnioną z Autorką przez ponad pół wieku – kustosza w Oddziale Rękopisów Biblioteki Jagiellońskiej, za co składamy serdeczne podziękowanie.

STRESZCZENIE

Autorka opowiada dzieje własnego rodu poprzez indywidualne losy życiowe jej członków w ciągu ostatnich dwustu lat. Był to ród szlachecki, osiadły na tak zwanych kresach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej Polskiej, dzisiaj stanowiących terytorium Białorusi i Ukrainy. Rozpoczyna od swoich prapradziadków, Moniki i Wincentego Pietraszewskich, gospodarzących w swoim majątku Hincewicze w powiecie baranowickim (obecnie na Białorusi). Następne etapy tych dziejów łączą się ściśle z tragicznymi skutkami powstań polskich, jakich doświadczyło w XIX wieku tysiące rodzin polskich głównie w zaborze rosyjskim. Również jej przodków dosięgła

zsyłka na Kaukaz, następnie osiedlenie w Stawropolu (obecnie Federacja Rosyjska) i Charkowie (obecnie Ukraina). Był też etap w Petersburgu i Carskim Siole, wreszcie krwawy czas rewolucji bolszewickiej. W roku 1922 rodzice Autorki znaleźli się w Krakowie i w nim mieszkali już do końca swych dni. Swą opowieść zbudowała Autorka na licznych dokumentach rodzinnych, a także na zasłyszanych relacjach swoich rodziców i krewnych.

SŁOWA KLUCZOWE:

Grażyna Wodzinowska-Taklińska, rodzinne wspomnienia

PRICE OF SURVIVAL. MEMORIES OF MY FAMILY 1812–1989

SUMMARY

The author recounts the history of her own family through the individual vicissitudes of its members throughout the last two hundred years. It was a noble family, settled in the so-called eastern borderlands of the former Commonwealth of Poland, now belonging to Belarus and Ukraine. She begins from her great-great grandparents, Monika and Wincent Pietraszewski, who farmed in their landed estate of Hincewicze in the district of Baranowicze (now in Belarus). The next chapters of this history are closely connected with the tragic aftermath of the Polish uprisings, which during 19th century affected thousands of Polish families, primarily those living in the Russian partition. Her ancestors were deported to the Caucasus, then settled in Stavropol (now Russian Federation) and Kharkiv (now Ukraine). Furthermore, they spent some years in St. Petersburg and Tsarskoye Selo, living through the bloody times of the Bolshevik Revolution. Finally, in 1922, the author's parents found themselves in Krakow, where they remained until the end of their days. In writing the paper, the author made ample use of the large body of family documents as well as of the oral relations heard directly from her parents and relatives.

KEYWORDS:

Grażyna Wodzinowska-Taklińska, family memories

